

Mniszki

Małgorzata Borkowska OSB

Mniszki



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Opracowanie graficzne:

Jan Nieć

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów

L.dz. 7/2019, Tyniec, dnia 7.01.2019

† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie, poprawione: Kraków 2019

ISBN 978-83-7354-876-3

© Copyright by s. Małgorzata Borkowska OSB

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95

e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

druk@tyniec.com.pl

Spis treści

Wstęp	7
Zofia Izbieńska	25
Matka Magdalena Mortęska	35
Halszka Krowicka	49
Uczestniczki bohaterskich początków	67
Anna Świętosławska	85
Panny służebne	99
Angelika	113
Zofia Klińska	135
Anna Kostczanka	151
Dorota Kamieńska	167
Katarzyna Zebrzydowska	187
Barbara Kołakowska	193
Franciszka Opalińska	203
Joanna Jaskólska	215
Magdusia	225
Zofia Sieniawska	229
Krystyna Eufemia Radziwiłłówna	237
Marianna Kuczkowska	271
Elżbieta Anastazja Radziwiłłówna	297
Krystyna Dunin-Brzezińska	309
Gabriela Houwalt	321
Źródła	347
Indeks nazwisk	353

Wstęp

Jakże archiwa wciągają! Zaczęło się wszystko od tego, że dostałam zadanie ustalenia liczebności polskich klasztorów mojego zakonu – to jest benedyktynek – w wiekach od XVI do XIX. Praca wymagała spisania wszystkich zakonnic i okazała się mrówcza, albo – jeśli kto woli – benedyktyńska. Bo istnieją wprawdzie w klasztorach specjalne księgi, gdzie zapisuje się wstąpienia, profesje i zgony zakonnic, ale często zaniedbywano ich prowadzenia, toteż danych trzeba szukać absolutnie wszędzie: w listach, w kwitach, w aktach procesowych, nawet na książkach i na portretach... Szczególnie dużo ich dostarczają księgi rachunkowe i bardzo polubiłam tego rodzaju źródła. Dodajmy, że archiwa klasztorów uległy, jeśli nie zawsze zniszczeniu, to w każdym razie w większości wypadków rozproszeniu podczas wojen i podczas akcji kasacyjnej zaborców; rzadko się zdarza, by całe archiwum danego klasztoru było w jednym miejscu. Akta mogą być wszędzie: w archiwach samych klasztorów, w archiwach i bibliotekach

kurialnych i państwowych, nawet w zbiorach prywatnych. Często też jedne prowadzą do drugich i tropi się kogoś lub coś po tych śladach, jak zwierza w puszczy. Ale to wszystko – to tylko zewnętrzne ramy przygody.

Samą przygodą było zetknięcie się z żywymi ludźmi, którzy w miarę szperania zaczynali jak gdyby budzić się i poruszać. Pierwsza napotkana wzmianka, to jeszcze tylko cień człowieka: ot, wiadomość, że taka żyła, i kiedy żyła. Ale po jakimś czasie znajduje się jakiś list od niej lub do niej, albo choćby wzmianka w cudzym liście; jakaś notatka w rachunkach, jakiś zapis w kronice... Ktoś relacjonuje jakiś jej czyn, naświetla motywy, ktoś podaje mimochodem opinię o niej, ktoś zapisuje, czasem przypadkiem, okoliczności... Nieraz to bywa wszystko i z takich kilku wzmianek można już sobie odtworzyć zarys postaci: mniej więcej tak, jak się odtwarza rysy zniszczonego portretu. Nie obywa się przy tym bez hipotez; zwykle starałam się uzasadniać swoje domysły, ale być może, że w odtwarzaniu tych psychicznych portretów ulegałam czasem sugestii i kształtowałam postacie znane tylko z fragmentarycznych informacji na wzór postaci współczesnych i żywych, niekoniecznie zresztą zakonnic. Co zresztą wcale nie znaczy, że rekonstrukcja musi być tym samym błędna. Ludzie bywają przecież podobni.

Ale to mnie właśnie fascynowało: docieranie do żywego człowieka. Ten człowiek coś sobie w życiu założył, czegoś chciał: rozumiem te dążenia, stanowią one program wybrany tak przez niego jak i przeze mnie. A w realizowaniu tego programu dysponował pewną sumą wrodzonych zalet i także wrodzonych wad; ponadto formacją otrzymaną od środowiska, pewnym zasobem wiadomości, mniejszym lub większym doświadczeniem... Kształtował też sam siebie przez kolejne decyzje, jedne zgodne z głównym dążeniem, inne z nim sprzeczne lub połowiczne, z czego sobie czasem zdawał sprawę, ale częściej nie. I bywał, jak każdy człowiek, mieszaniną wielkich pragnień i małych realizacji, genialnych intuicji i zenujących błędów, zbędnych komplikacji i tragicznych w skutkach uproszczeń. I to także – jak bardzo rozumiem.

A wreszcie, była nad nim, jak jest i nad nami, ręka Boga. Każdy z tych szkiców jest właściwie historią miłości Stwórcy do jednego ze stworzeń; miłości różnie przyjmowanej przez to stworzenie, czasem je uskrzydlającej, a czasem bardzo boleśnie zmarnowanej. I oczywiście nie można przysiąc, że tak właśnie było naprawdę; jak o nikim, najlepiej nawet znanym, nie można powiedzieć na pewno, że to, co nam się wydaje dowodem świętości lub grzechu, było nim naprawdę w oczach Boga, albo że było ostatnim słowem tego człowieka.

Ponieważ bohaterkami tych szkiców są zakonnice, i to zakonnice żyjące głównie w XVII wieku, czytelnikowi należą się na wstępie pewne wyjaśnienia, dotyczące tak świata zakonnego w ogóle, jak i konkretnej epoki. Motywów wstępowania do zakonu jest niemal tyle, ilu kandydatów; tym niemniej pewne ogólne linie, po jakich taka motywacja przebiega, są dosyć wyraźne. Może są jeszcze pośród czytelników tacy, którym trzeba wyjaśnić, że wstępowanie do zakonu po załamaniu się innych planów życiowych zdarza się raczej tylko w powieściach; w normalnym życiu, gdyby się to zdarzyło, wykrycie takiej motywacji skończyłoby się (był taki wypadek u benedyktynek wileńskich przed wojną) usunięciem kandydatki jako nie podchodzącej do sprawy poważnie. Chrystusa Pana nie wybiera się jako smutnej ostateczności.

Normalnie więc motywacją, która otwiera wejście do klauzury, jest miłość Boga, szukająca wyłącznego oddania się Umiłowanemu; a przede wszystkim – posłuszeństwo Jego rozpoznanemu wezwaniu do takiego właśnie sposobu życia i takiej służby. Trzeba jednak pamiętać, że motywacje ludzkie są na ogół złożone, a poza tym podlegają rozwojowi. Może więc działać na raz wiele czynników, może oprócz miłości Boga wchodzić w grę przyjaźń (św. Teresa Wielka wybrała klasztor, w którym miała przyjaciółkę), albo podziw

dla życia jakiejś wspólnoty, albo chęć złożenia z siebie ofiary w jakiejś bardzo konkretnej intencji, albo poszukiwania sensu życia... Faktycznie zdarza się także, że ktoś wstępuje po prostu dlatego, że mu taki sposób życia z jakichś względów zaimponował, albo że w jego środowisku uchodzi to za awans społeczny, albo że sobie chce zapewnić utrzymanie na starość, albo że boi się świata... I może się zdarzyć, że taka błędna, pozareligijna motywacja nie zostanie wykryta, że kandydatka – zwykle sama nie rozumiejąc, o co chodzi, i przekonana, że jest na najwłaściwszej drodze – złoży śluby wieczyste i dopiero po jakimś czasie zaczyna, ku własnemu i otoczenia zdumieniu, czuć się nie na miejscu i zadręczać siebie i innych. Ale może się także zdarzyć, że motywacja z początku nie najlepsza rozwija się powoli, że kandydatka, w miarę jak poznaje Boga, zaczyna pragnąć służyć Mu w coraz lepszej intencji i dochodzi do pełni miłości, chociaż jej punkt wyjścia był od tego bardzo daleki.

W XVII wieku te uboczne, niepełne lub zgoła błędne motywacje mogły grać większą rolę niż w naszych czasach. Dziewczęta intelektualnie uzdolnione znajdowały tylko w klasztorze zachętę, żeby jak najwięcej czytać, medytować, a nawet pisać; dziewczęta, których nie pociągała zależność małżeńska, uważały posłuszeństwo zakonne

za mniej ponizające; dziewczęta ambitne widziały w takim wyborze sposób szybkiego zaimponowania otoczeniu, a dziewczęta bez posagu mogły łatwiej – mimo zakazów biskupów – dostać się do klasztoru niż za mąż, co było jedyną alternatywą, jako że przy prawnej niesamodzielności kobiety staropanieństwo nikogo nie pociągało. Czasem działała też swoista moda, jakby owczy pęd. Wreszcie bywały i wypadki (choć rzadsze, niż się to na ogół przypuszcza), że decyzję podejmowali rodzice; co samo z siebie nie przesądza jednak o braku powołania, jak tego dowodzi przykład św. Gertrudy. Znam zresztą i dzisiaj wiele zakonnice, które w dzieciństwie były ofiarowane Bogu, chociaż dowiedziały się o tym od rodziców dopiero wtedy, kiedy podjęły już same dobrowolną decyzję wstąpienia.

Jest i było trudnym obowiązkiem przełożonej oraz mistrzyni nowicjatu rozeznawać i oceniać motywacje kandydatek, a także ich ewentualną zdatność fizyczną i psychiczną; bo można mieć najlepszą wolę, ale nie mieć zdrowia do surowego klasztornego trybu życia, albo mieć nerwy zbyt słabe, żeby żyć przez długie lata bez żadnej przerwy w jednym i tym samym zespole. Typy wydelikaczone, obraźliwe, podejrzliwe, obdarzone nadmierną ciekawością lub niezrównoważone przygotowują tam niezły czyściec sobie i in-

nym. Tylko że bardzo trudno jest dobrze poznać człowieka, nawet jeśli się go ma w ręku przez rok czy dwa; a trudniej jeszcze, jeżeli kandydatek jest wielka gromada, jeżeli ich co roku przybywa kilkanaście i jeżeli w dodatku zewsząd dochodzą błagania o przysłanie grupy zakonnicek na nową fundację. To nieraz może prowadzić do pośpiesznego sądu: „Ujdzie w tłoku”. Podobnie, jeżeli przełożona albo mistrzyni jest osobą zbyt prostolinijną i zbyt młodą, żeby zrozumieć skomplikowane sploty pragnień i obaw kogoś inaczej przez naturę ukształtowanego; bierze wtedy za dobrą monetę każdą pobożną deklarację, ponieważ ona sama tak właśnie myśli i żyje, a nie wie jeszcze, że te same słowa potrafią w różnych ustach znaczyć zupełnie co innego.

Pora już jednak przejść od tego ogólnego wstępu do dokładnego określenia czasu i miejsca akcji. A zaczęło się wszystko dosłownie od eksplozji. Jak wiadomo, nauka Lutra i Kalwina, szerząca się w Polsce w wieku XVI, potępiała między innymi życie zakonne; Luter, sam ongiś zakonnik augustiański, jakoś dziwnie pojął był swoje powołanie, skoro ostatecznie doszedł do wniosku, że życie zakonne jest próbą zbawienia się nie z wiary, ale o własnych siłach, bez pomocy Boga; a więc ostatecznie czymś dogłębnie bezbożnym. Miałby rację z tą bezbożnością, gdyby tak było..., gdyby ktokol-

wiek utrzymywał, że bez kontaktu z Łaską przez wiarę można w ogóle w zakonie żyć. Ale ile wiary do tego życia potrzeba, i jak ono z niej płynie, uczniowie Lutra zrozumieli dopiero w naszych czasach; w XVI wieku, w swej żarliwości o chwałę Bożą wołali o położenie końca tej tak bluźnierczej instytucji. To wołanie zastało klasztory na ogół w upadku; pełne, to prawda, ale pełne ludzi letnich, przebywających tam z musu, albo przez życiową pomyłkę, której nikomu nie chciało się wykryć ani sprostować; a jeśli nawet z powołania, to przyjętego połową serca i realizowanego połową życia. Smutne bagienko ludzi zbyt leniwych, żeby się buntować, ale i żeby iść naprzód.

W te senne środowiska padło wyzwanie Reformacji. Większość tych ludzi wiedziała dobrze, że coś jest z nimi nie w porządku, i oto dostali wyjaśnienie: sam ich wybór był błędny i bezbożny! Więc wychodzili masowo: jedni dlatego, że wyjście uznali szczerze za akt chwały Bożej, inni – bo im to otwierało drogę, którą by dawno poszli, gdyby śmieli. Reformacja oczyściła klasztory z ludzi bez powołania, często przy tym opróżniając je całkowicie, jeśli tam innych akurat nie było. Ci zaś, którzy zostali, albo ci, którzy właśnie chcieli wstąpić, nie mogli już tego robić w półśnie, jak poprzednio: wyzwanie zostało rzucone, odtąd trzeba było mieć swój wybór uzasadnić; swoją drogą iść

konsekwentnie, walczyć o nią ze sobą i ze światem. I tylko kto się naprawdę zakochał w Bogu, mógł tego dokonać, i jeszcze innych za sobą pociągnąć.

Była, oczywiście, i pomoc prawna. Ostatnia sesja Soboru Trydenckiego (odbyta w roku 1563) poświęcona była życiu zakonnemu i wydano tam mnóstwo rozporządzeń, których zadaniem było uniemożliwić na przyszłość rozluźnienie się karności w klasztorach. Ale zaciśnięte ramy prawne same przez się nie dawały jeszcze gwarancji, że w tych klasztorach ktokolwiek zechce żyć. Zwłaszcza, że nowe prawa ogromnie to życie – mówiąc po laicku – utrudniały.

I wtedy właśnie nastąpiła eksplozja. Może i musiała nastąpić: wiadomo, że im ideał jest trudniejszy, tym jednostki ofiarne pociąga bardziej, a poza tym nastały czasy, w których problemy religijne były na wszystkich ustach: było się zapalonym protestantem albo zapalonym katolikiem i przyjmowało się tego wszelkie konsekwencje. (Świetnym tego przykładem będzie książę Radziwiłł „Sierotka” jako fundator klasztoru.) W ostatniej ćwierci XVI wieku w Polsce dosłownie setki dziewcząt były gotowe iść do klasztoru natychmiast, był jednak duży problem: gdzie klasztor znaleźć. Wegetowało jeszcze kilka zgromadzeń, ale na ogół w biedzie, w ruinach, w rozprzężeniu,

na łasce losu i w składzie tak niepełnym, że ani życie ich nie mogło pociągać przykładem, ani rodzice kandydatek nie chcieli oddawać tam córek. Gorliwie żyjący klasztor potrzebuje pewnego minimum obsady, żeby podolać i obowiązkowi chóru, i obowiązkowi pracy, i jeszcze znaleźć czas na czytanie i rozmyślanie...

Przełom wieku XVI i XVII zobaczy odrodzenie wszystkich tych klasztorów i ich żarliwe przejście się ideałami zakonnymi w potrydenckim wydaniu, które dzisiejszym językiem można by nazwać ówczesną „przystosowaną odnową”. Działalność Agnieszki Jastkowskiej, reformatorki brygidek, czy Doroty Kątskiej, reformatorki norbertanek, stanowi punkt zwrotny w historii polskich żeńskich zgromadzeń zakonnych. Ale najwcześniej – bo już w roku 1579 – rozeszła się po Polsce wiadomość, że oto właśnie jest jeden klasztor, który się odrodził i zaczął życie takie, jakie sobór nakazuje: benedyktyнки w Chełmnie. W tym klasztorze, jeszcze rok wcześniej – pustym, a właściwie stanowiącym schronienie kilku starych zakonnic różnych reguł i garstki szybko przepływających kandydatek, nagle 12 nowicjuszek złożyło profesję i obrało ksieni; ta ksieni, panna Magdalena Mortęska, jest rodzoną siostrzenicą biskupa Kostki, a jej gorliwość (i parantela...) gwarantują, że klasztor będzie prawdziwie reformowany...

Jaką magiczną moc, nawiasem mówiąc, miało wtedy słowo „reformowany”, nam dzisiaj pojąć trudno, nawet mimo przeżycia reformy po *Vaticanium II*. To był znak jakości, gwarancja wysokiej klasy, przyczyna, dla której na przykład nie tylko wojewoda krakowski, ale i niejeden krakowski mieszczanin wiozł córkę, która chciała zostać benedyktynką, aż do Prus Królewskich do Chełmna, zamiast ją oddać tuż blisko do Staniątek, i to pomimo że klasztor staniątecki wyszedł wyjątkowo obronną ręką z zawieruchy Reformacji. Do Chełmna jechały kandydatki z Litwy i z Rusi, z Wielkopolski i Małopolski; nie wszystkie oczywiście, ale bardzo duży procent, z samych zaś Prus (dziś powiedzielibyśmy „Pomorza”) chyba prawie wszystkie. A chełmińska ksieni miała wielkie plany: wysyłała fundacje na cztery strony świata, a z tych z kolei niejedna fundowała dalej, tak że w połowie XVII wieku było dwadzieścia dwa klasztory benedyktynek kongregacji (lub „reformacji”) chełmińskiej. Czyli takich, które sposobu życia zakonnego uczyły się w Chełmnie.

Więcej ich już potem nie powstało, bo przestrzeń była nasycona; pojawiło się w latach 1604–1636 siedem nowych fundacji zreformowanych brygidek, zjawiły się w Polsce od roku 1612 zreformowane („bose”) karmelitanki, odrodziły się w XVII wieku upadające domy bernardynek,

dźwigały się norbertanki (zreformowany w roku 1591 klasztor zwierzyniecki liczył ich w szczytowych latach przeszło setkę); panny kandydatki miały więc wybór pełny i klasztorów tyle, ile było potrzeba. Na dalszym losie zgromadzeń miały zawążyć przede wszystkim wypadki polityczne.

Bo klasztor, jak każda inna gromada ludzka, musi przecież z czegoś żyć; a jeśli zniszczenia wojenne podkopią jego byt materialny, zaczyna się krótszy lub dłuższy okres wegetacji. Benedyktynki żyły z majątków ziemskich, które wojna niszczy w pierwszym rzędzie. Po „potopie” szwedzkim wiele zakonnic przez długie lata mieszkało u rodzin, wiele klasztorów przez jakiś czas nie przyjmowało kandydatek, bo nie było ich z czego wyżywić. Jasne, że nabyte podczas rozsypki przyzwyczajenia nie zawsze potem były w zgodzie z normalną karnością klasztorną. Ledwo te trudności przezwyciężono, przyszła wojna północna i znowu trzeba było po niej zacząć od początku. XVIII wiek, względnie spokojny dla klasztorów, nappełnił je znowu; ale już zaraz po rozbiorach zaczęły się trudności, rządowe szykany, akcja kasacyjna... W ciągu XIX wieku rządy zaborcze zamknęły prawie wszystkie klasztory; nieliczne tylko dożyły wolności i dały początek istniejącej dziś nowej kongregacji.

Ale w wiek XIX z rzadka tylko będziemy zaglądać, a czasy, które zabiorą większość naszej

uwagi, to właśnie okres potrydenckiego odrodzenia polskich benedyktynek. Żeby ten okres i jego ludzi zrozumieć, trzeba pamiętać, że odwrotną stroną gorliwości (i ubocznym produktem każdej reformy) jest doktrynerstwo; i że jakkolwiek słuszna może być uwaga Chestertona, iż społeczeństwo zdrowe ustanawia prawa, a chore je burzy, to jednak bywają ludzie, którzy uważają za swój święty obowiązek takie mnożenie przepisów i paragrafów, że w skutkach niewiele się to różni od burzenia. Wielu wtedy było w Polsce duchownych, którzy interpretując ustawy soboru usiłowali je na własną rękę tak zacieśnić i usztywnić, jak to nigdy nie było w intencji Kościoła; toteż ludzie, którzy zachowali zdrową równowagę, mieli nieraz z tego powodu wiele trudności. Exemplum matka Mortęska.

Gdy chodzi o zakony, niewątpliwymi osiągnięciami epoki potrydenckiej – i kryteriami, według których stwierdzano, czy dany zakon jest już „reformowany”, czy nie – były: uściślona klauzura, odosobnienie nowicjatu od reszty zgromadzenia, wprowadzenie zmetodyzowanego (i obowiązkowego) rozmyślenia, i to w okresie formacji koniecznie na piśmie, wreszcie nowość przez jezuitów przyniesiona, mianowicie doroczne (lub częstsze) rekolekcje oraz praktyka tak zwanej renowacji, czyli jakby powtórnego odbycia no-

wicjatu celem odnowienia i wzrostu gorliwości. W duchu epoki była także rewizja reguły zakonu i takie przepracowanie jej tekstu, żeby – po dodaniu wyjaśnień, czyli tak zwanych deklaracji – nie było w nim nic nieaktualnego. Co się nie nadawało w zmienionych warunkach do zachowania, to opuszczano, żeby nie było źródłem konfliktów sumienia. Tak właśnie przerobiono w Chełmnie prastary tekst reguły benedyktyńskiej – co się z kolei spotkało z ostrą krytyką ze strony tych klasztorów zakonu, które nie zaczynały, jak Chełmno, od zera, i które były zbyt przyzwyczajone do starego pełnego tekstu, żeby spokojnie przeżyć takie jego potraktowanie.

W ogóle były to czasy, w których na temat życia zakonnego prawie każdy miał coś do powiedzenia, i na ogół to mówił. Trzeba było mieć mocną głowę, żeby wśród tego wszystkiego zachować jakąś linię. W sprawie klauzury na przykład: benedyktynki chełmińskie starały się zachować ją ściśle, ale nie aż tak ściśle, żeby na tym cierpiało zdrowie zakonnic, interesy materialne klasztoru czy podjęta praca wychowawcza. Miały na to wszelkie potrzebne pieczęcie i podpisy, ale oczywiście cały rój proszonych i nieproszonych doradców wypowiadał się w tej sprawie: jedni, że to za ostro, inni, że za łagodnie. Pomysły tych doradców bywały nieraz tak przedziwne, że dziś moż-

na się z tego tylko śmiać; ale wtedy się nie śmiano, tylko miejscowa ksieni – na przykład poznańska czy jarosławska – pisała kolejny rozpaczliwy list do Chełmna, że ojciec X. był znowu i to a to doradzał, i tych a tych znów na nas podburzał, i co z nim robić, i jak naprawdę powinno być?!

A jednocześnie trzeba pamiętać, że to jest ten sam barwny świat staropolski, który wsiąknął nam w krew przez Trylogię; ale Trylogia potrzebuje uzupełnienia takiego, jak na przykład *Prawem i lewem* Łozińskiego. Ludzie tych czasów, chociaż z jednej strony gotowi byli w sprawach religii poddać się (byle dobrowolnie!) rosnącemu rygowi – przecież to opinia publiczna doprowadziła do upadku drukarnię Herburta, który chociaż katolik, drukował bez Imprimatur – to z drugiej strony właśnie coraz bardziej robili sobie fetysza z wolności, nieraz najmylniej pojętej. Osławione *liberum veto* pochodziło ze szlachtetnej utopii: z chęci, żeby nikt nie był przymuszony przez decyzję – i przemoc – wielu. I przez długi czas nikomu nie przyszło skutecznie do głowy, że w ten sposób bardzo wielu bywa przymuszonych przez decyzję jednego. Wolności żądał każdy: szlachcic tym bardziej, im bardziej ją miał, a mieszczanin tym bardziej, im bardziej ją tracił. A do klasztoru idzie się przecież ze świata i to się wnosi, czym się tam nasiąkło. Złota polska wolność wewnątrz Kościoła

katolickiego nie przejawiała się w dziedzinie doktryny; ale już z karnością kościelną bywało różnie. Także i w zakonach. Żywiołowy opór klasztoru toruńskiego przeciw zwierzchnictwu chełmińskiej ksieni jest – z całą swą niekonsekwencją i uczuciowością – jakby wprost wyjęty z kart *Prawem i lewem*. A chyba szczytem wszystkiego jest deklaracja ksieni poznańskiej Ewy Głoskowskiej, która, gdy biskup żądał, aby w klasztorze wprowadzono podawanie Komunii świętej przez zakratowane okienko z kościoła (zamiast dotychczasowego odprawiania Mszy świętej i udzielania Komunii siostrom wewnątrz ich chóru, w klauzurze), oświadczyła, że raczej razem z całym zgromadzeniem nigdy więcej do Komunii świętej nie przystąpi, niż by się miała zgodzić na coś takiego! W obu wypadkach słowem „wolność” szafowano hojnie. To było *imponderabile*, kuwaka, słowo-wytrych, jak dzisiaj „dialog” albo „rozwój osobowości”.

Ale to wszystko są tylko niektóre uboczne przejawy dążeń i działalności tych, którymi będziemy się tu zajmować. Ich codzienne życie, to, dla którego ostatecznie przyszły, składało się z modlitwy i pracy. Ramę dnia stanowiły kolejne tak zwane godziny kanoniczne, czyli wspólne modlitwy w chórze (oficjum), do których używano rzymskiego brewiarza; pomiędzy nimi był czas na czytanie i rozmyślanie, na obowiązki domowe... Praca

była różna, zależnie od zdolności i rozporządzenia ksieni; w każdym klasztorze jest mnóstwo tak zwanych urzędniczek, którym powierza się odpowiedzialność za poszczególne zajęcia lub dziedziny życia. Wiele sióstr zatrudnionych było w pracowni hafciarskiej, kilka wychodziło do osobnej części budynku, w której mieszkały uczennice; inne dozorowały włości, zajęte były w kuchni i piekarni, w tak zwanej infirmerii, gdzie leżą chore zakonnice, w łaźni zakonnej, w ogrodzie... I znowu, jeśli szukać głębiej, to są to tylko zewnętrzne ramy życia; istota, dla której się wstąpiło, to możliwość służenia Bogu każdym ruchem i każdą myślą, w domu, w którym wszystko zostało tak zorganizowane, żeby mówiło o Nim i prowadziło do Niego.

Tę możność jednak, jak już wiemy, nie każdy umiał i umie wykorzystać. Pasjonujące jest odkrywać, jak się splatają w ludzkiej duszy dążenia mniej i bardziej uświadomione, wielkie i całkiem malutkie, a tylko sztucznie rozdęte przez brak właściwej perspektywy. Tylko że efekt tych odkryć nie zawsze się nadaje do księgi złotych myśli i świetlnych wzorów, i to jest coś, czym ta książka nie jest i z natury rzeczy być nie może. Tym, którzy jeszcze nie wiedzą z własnego doświadczenia, jak trudno jest pracować nad sobą, i którzy w konsekwencji wyobrażają sobie, że kto przekroczy próg klasztoru, ten albo był już przedtem, albo od tej chwili

li staje się automatycznie święty – ta książka może przynieść dużo zdziwienia. A jednak to właśnie jest najwspanialsze: że nam, ludziom, takim, jacy jesteśmy, ze wszystkimi naszymi wadami, dany jest ten zaszczyt, że możemy służyć Bogu i powoli poddawać się Jego łasce, która nas przerabia – słudzy nieużyteczni, ale bardzo szczęśliwi, że służyć mogą.

Jeszcze jedno, czym ta książka nie jest: systematycznym wykładem historii początków kongregacji chełmińskiej. W centrum uwagi stoi za każdym razem jeden człowiek, więc zdarza się nieraz, że te same wypadki, różnie przez różnych ludzi przeżywane, wracają po kilka razy, podczas gdy inne nie są wspomniane wcale, ponieważ osób tych nie dotyczyły. Pełną historię pierwszego półwiecza kongregacji podaje biografia Magdaleny Mortęskiej pióra prof. Karola Górskiego (Znak 1971); po inne informacje odesłać trzeba przede wszystkim do książki tegoż autora *Od religijności do mistyki* (Lublin 1962), do drugiego tomu KUL-owskiej książki *Kościół w Polsce* oraz do hasła „Benedyktynki w Polsce” w wydanym ostatnio przez Katolicki Uniwersytet Lubelski drugim tomie *Encyklopedii katolickiej*. Narasta poza tym przyczynkowa bibliografia tej tematyki, ale to już może interesować głównie specjalistę.

Mniszki to pierwszy z trzech tomików obok *Twarzy Ojców Pustyni* oraz *Od Radegundy do Julianny*.

Zofia Izbieńska

Jakkolwiek pierwsze miejsce w tej galerii portretów należałoby się samej Matce Mortęskiej, sięgnijmy jednak jeszcze nieco wstecz w historię, do kogoś, kto nie miał ani zdolności organizacyjnych, ani chyba płomiennej pobożności Magdaleny, ale miał tę samą, co ona, żelazną wolę, wyrażającą się w tym wypadku w umiejętności trwania i przetrwania pomimo wszelkich trudności.

Jest rok 1556; blisko dwudziestoletnie (z przerwami) obrady Soboru Trydenckiego zakończą się dopiero za lat siedem. W Polsce klasztory na ogół są już wyludnione, ale to jest tylko jeden z wielu objawów ogólnego zamieszania w Kościele i na pewno nie ten, od którego ówczesni biskupi mieliby ochotę zacząć robienie porządku. W Chełmnie nad Wisłą zjawia się klaryska z Gniezna, panna w średnim wieku, dość zresztą wysokiego rodu, Zofia Izbieńska vel Izdbieńska. Towarzyszą jej dwie bernardynki, nie bardzo wiadomo skąd właściwie przez nią ściągnięte, Jadwiga Jachoniewska i Barbara Wąsowska. Cała trójka przyznaje się

do wiary katolickiej i domaga się, żeby je wpuszczono do „sheretycznego” klasztoru benedyktynek. I nie wiadomo właściwie, dlaczego.

Nie była to inicjatywa ówczesnego biskupa chełmińskiego – Jana Lubodzieskiego, bo ten, jak się zdaje, nie wtrącał się zanadto do rządów swojej krewnej – może siostry – Gertrudy, przełożonej wymierającego zgromadzenia; i trzeba było mnóstwa starań i protekcji, żeby po długich oporach pozwolił w ogóle wpuścić Zofię i jej towarzyszki do klasztoru. Nie z braku miejsca... Gertruda Lubodzieska mieszkała już tam wtedy prawie sama, bo z jedną tylko mniszką, Agnieszką Plemięcką. Ta ostatnia, jakkolwiek trzymała się wiary, była, jak to dwukrotnie kronika powtarza, „baczenia małego”, co może znaczyć „tępa”, lub nawet „niespełna rozumu”. Gertruda zaś, inteligentna ale samowolna, przejęła się nauką reformacji i pod jej wpływem prowadziła świadomą politykę stopniowego wyniszczenia klasztoru, rozdając wszelkie jego mienie, a zwłaszcza nie przyjmując nowicjuszek. Jest coś przerażającego w tym częstym wtedy zjawisku nienawiści, z jaką przechodzące na nową wiarę zakonnice starały się zniszczyć własne klasztory. „Gdybyśmy wiedziały, że tu po nas zakonnice będą, dałybyśmy raczej klasztor po cegielce rozebrać” – mawiały ostatnie mniszki toruńskie... Musiały to być i przed nadejściem Reformacji nie naj-

gorliwsze zakonnice, teraz zaś klasztor stał się dla nich tym, na czym chciały wyrzucić zemstę za swe nieudane życie; a w najlepszym wypadku – źródłem ich własnego dożywotniego utrzymania, jeśli nie miały dokąd odejść. Gertruda Lubodziska widać nie miała dokąd, może też poczytywała sobie za obowiązek wobec nowej wiary zniszczenie takiego bastionu starej, nie bez korzyści dla rodziny i znajomych. A krewny – biskup nie przeciwdziałał. Może nie umiał sobie z nią poradzić, może uznał pozycję i tak za straconą. Gertruda rozdała krewnym kościelne naczynia, a on zezwalał okolicznej szlachcie zabierać klasztorne ziemie. Do takiego to klasztoru siłą prawie wdarła się Zofia Izbieńska. Nie mogła być mile witana.

Skąd w ogóle przyszło jej to do głowy? Miała i ona brata – biskupa poznańskiego, ale jeśli go nawet uznamy za źródło jej informacji o opłakanym stanie klasztoru w Chełmnie, to i tak nie możemy go uznać za inicjatora przedsięwzięcia. Nie żył już bowiem od trzech lat, a póki żył, musiał mieć i na terenie własnej diecezji sporo takich rozsypujących się klasztorów, o które się pewnie bardziej troszczył. Nie wiemy też, dlaczego klaryska Zofia zdecydowała się ratować właśnie benedyktyński klasztor. Nie miała nawet zamiaru przejąć go dla swojej reguły; przeciwnie, chodziło jej o zachowanie go takim, jakim go fundatorzy założyli. Praw-

dopodobnie pragnęła po prostu utrzymać dla Kościoła zagrożoną placówkę, nie troszcząc się o nic poza tym. Ostatecznie i to nie wykluczone, że mogła pewną rolę odegrać ambicja, dla której może Zofia nie znalazła ujścia w rodzinnych stronach.

Tak czy inaczej – przyjechała do Chełmna, a dosyć już wiemy o tamtejszej sytuacji, żeby docenić, jak śmiałe to było przedsięwzięcie. Gertruda Lubodziska oczywiście zamknęła przed nią drzwi, co było łatwe wobec „intruza” z obcego zakonu. Tradycje żeńskiej klauzury raczej nie przewidują wpuszczania do klasztoru zakonnic innych reguł – nie tylko osób świeckich; wprawdzie Gertruda dawno już nie troszczyła się o klauzurę, ale prawo mogło tu posłużyć jako tarcza. Zofia jednak miała sporo energii, a widać także sporo znajomości, jeśli potrafiła wciągnąć do akcji między innymi nawet wojewodę kujawskiego, którego interwencja u biskupa ostatecznie przeważała, i trzy nowoprzybyłe wpuszczono do klauzury. Nie było im tam łatwo. W dodatku o chleb powszedni należało stałe zabiegać u znajomych i dobroczyńców, bo klasztor stracił już wszystkie dobra i dochody. Izbieńska nie umiała się widać procesować, skoro nawet wtedy, gdy była już jedyną „starszą” (to jest przełożoną) w Chełmnie, nie uczyniła żadnych starań o odzyskanie źródeł utrzymania, które zresztą i przed roztrwonieniem nie były obfite.

Może też zdawała sobie sprawę, że przy procesie przeciwnicy nie omieszkają wykorzystać faktu, iż nie ma ona właściwie prawa występować w imieniu domu, do którego formalnie nie należy. Żyła więc przez dwadzieścia kilka lat z samej jałmużny, jak dobra franciszkanka. Jałmużna zresztą była w Chełmnie i poprzednio poważną pozycją w dochodach klasztoru.

Dopóki żyła Gertruda, pozostała oczywiście „starszą”. Dwie małe grupki zakonnice, początkowo, być może, wymijające się na pustych, niszczących korytarzach, mogły się wkrótce potem połączyć, kiedy Gertruda pod wpływem kapelana, którego im przysłał biskup, wróciła do wiary katolickiej. Przeżyła w niej jeszcze kilka lat i zdaje się, że usiłowała naprawić wyrządzone szkody i jakoś się zatroszczyć o swój klasztor. Około dwudziestu lat później (rok 1580) zeznał pewien murarz, że na jej zlecenie stawiał mur z podwójną furta, mający chronić spokój klasztoru przed wybrykami przechodniów, widać nieżyczliwych. Jakiegokolwiek jednak były jej starania, jeżeli były, skutku żadnego nie odniosły. Po jej śmierci rządy przejęła ostatecznie Zofia Izbieńska.

A potem płynął rok za rokiem bez żadnej większej nadziei na poprawę i odrodzenie. Nawarstwiały się tylko rozczarowania. Kandydatek – o dziwo – nie brakowało, ale wszystkie po kolei odcho-

dziły. Kronika chełmińska zdaje się przypisywać to nieumiejętności Zofii, pisząc, iż te nowicjuszki „ćwiczenia i umartwienia powinnego nie miały” i nie przestrzegały klauzury (widocznie przez brak dozoru), toteż wracały do świata. Dziwi to w porównaniu z obrazem Zofii – surowej mistrzyni, przekazanym nam przez biografa Magdaleny Mortęskiej. Może jednak Zofia na starość zmieniła metody wychowawcze, tak pod wpływem przemyśleń, jak i zgorzknienia, które czyni człowieka twardszym. Jeżeli jednak czuła się po latach bezskutecznego stróżowania w Chełmnie rozgoryczona, to w każdym razie nie na tyle, żeby porzucić posterunek. Jakoś już po roku 1574, a więc po osiemnastu latach jej borykania się z pustką i niepowodzeniem, nowy biskup Piotr Kostka postanowił ten nie rokujący już żadnych nadziei klasztor przekazać jezuitom. Zofia sprzeciwiła się temu w imię woli fundatorów – i zwyciężyła. Biskup zresztą mógł uważać swoje ustępstwo tylko za chwilowe. Mężna strażniczka miała już sześćdziesiąt lat, jej towarzyszki nie mogły być o wiele młodsze, a po ich śmierci gmach byłby i tak do objęcia. Nie mógł wiedzieć, że już w najbliższych latach jego własna siostrzenica odrodzi ten i wiele innych klasztorów. O zamiarach tej siostrzenicy wiedziało wtedy jeszcze tylko najbliższe otoczenie i robiło co mogło, żeby je udaremnić; ona zaś cze-

kała cierpliwie na stosowną chwilę – i uczyła się czytać...

Jednakże biskup, pozwoliwszy trzem starym siostronom pozostać, nie tamował napływu – czy raczej przepływu – nowych powołań. Ile ich jeszcze przyjęto? Znamy liczbę i nazwiska tych tylko, które pozostały: ostatnich nowicjuszek Izbieńskiej było siedem, wstąpiły one razem ósmego września 1578 roku, w sam czas, by zdążyć asystować przy pogrzebie ostatniej z dawnych benedyktynek, owej „małego baczenia” Agnieszki, która zmarła późną jesienią tegoż roku. Matka Mortęska już nawet tej nie mogła znać... Czy owa siódemka nagle udanych powołań okazała się udana dzięki swym własnym zaletom, czy dzięki zmienionym metodom Zofii, czy też, jak zdaje się sugerować Kronika chełmińska, dzięki gorliwości i przykładowi swojej młodszej współsiostry, która zjawiała się w Adwencie tegoż roku? Może złączyło się to wszystko na raz. W każdym razie od końca 1578 roku zamarty klasztor zaczął ożywać. Dramatyczne, a zwycięsko zakończone dzieje wstąpienia Magdaleny, nadzieje, które od początku z nią związane, a potem pierwsza co najmniej od ćwierćwiecza profesja i konsekracja – wszystko to było dla Zofii triumfem, nagrodą za jej cierpliwe i uparte trwanie. Związała się też na zawsze z klasztorem, w który włożyła tyle serca, przy-

mując razem ze swymi wychowankami konsekrację. Prastary ten zwyczaj uroczystego poświęcania dziewic na służbę Bożą, wcześniejszy nawet niż śluby zakonne, przechowały benedyktynki jako dodatek do nich, jakby ostateczne dopełnienie złożonej z siebie ofiary; łączył się też on z nabyciem pełni uprawnień zakonnych, na przykład do przewodniczenia wspólnej modlitwie w wyznaczonym tygodniu, do zabierania głosu w obradach, piastowania urzędów itd. Nowsze zakony na ogół tego zwyczaju nie przejęły, z wyjątkiem norbertanek; niektóre zebracze, jak na przykład dominikan-ki, były mu zgoła przeciwne. Toteż przyjęcie konsekracji przez Zofię Izbieńską w Chełmnie było równoznaczne z jej oficjalnym przejściem do zakonu benedyktyńskiego.

Nie wiemy, czy od razu po wyborze Magdaleny przekazała jej całą władzę: wzmianka w żywocie tej ostatniej, że Zofia przez dwa lata nie zezwalała jej na dobrą pościel, pozwalała snuć domysły, że nowa ksieni, w trosce o swoje postępy duchowe, pozostawiła swej dawnej mistrzyni władzę przynajmniej nad swymi osobistymi sprawami, podobnie jak później kiedyś zamierzała się poddać pod władzę jednej z sióstr. Jeżeli jednak tak było, mógł to być tylko okres przejściowy. Później Zofia żyła już – niedługo zresztą – w cieniu swej wielkiej, chociaż młodziutkiej następczyni. Widziała,

jak Magdalena wyzwala z długów i nędzy uratowany przez nią klasztor, jak garną się do niego coraz liczniejsze powołania. Widziała obsadzenie Torunia i początek rokowań o Żarnowiec. Umarła w maju 1586 roku, na krótko, przed trzecią już z kolei zbiorową konsekracją młodych profesek, w klasztorze pełnym życia i gorliwości zakonnej.